Ner 9.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 22 kwietnia 1843. Rok czwarty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301., we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 8 kwietnia 1843.

Stroje damskie. Piękne dni które do nas zawitały z początkiem kwietnia sprawiły że niewidać już więcej ciężkich, axamitnych kapeluszów ozdobionych trzema strzępionemi piórami, ani też kapeluszów różowych z *pos-de-soie* kwiatami ozdobionych, któreśmy strojem przechodowym nazwali. Natomiast zwracamy uwagę na kapelusze atłasowe białe przysłonione korunkami i ozdobione długiem piórem białem; robią one przedziwne wrażenie. Z pomiędzy najnowszych strojów głowy opiszemy tu strój *à la Guillaume Tell* gdyż jak się spodziewamy będzie on jeden z najulubieńszych. Aby go uskutecznić trzeba podnieść włosy na sposób kaska aż do pół głowy, umocować je grzebieniem, rozdzielić wszystkie włosy na piętnaście równych części i zrobić szeroką plecionkę nadając jej okrągłość jabłka. Reszta włosów powinna być podzielona na dwie części z których po obu stronach węzła robi się kilka koków mając wzgląd na to aby te zachodziły na skronie i na przepaskę u głowy. Wianek z róż bez liścia powinien okrywać skronie, zaokrąglać się nad policzkami i przechodzić aż za uszy przedłużając strój w tyle w kształcie podkowy. Strzałka przeszywająca węzeł, powinna być ostrzem w górę wzniesiona, pióro zaś opierać się na czole dla większej ozdoby.

Artystkom tutejszym nie zbywa także na nowych pomysłach; peleryny pokazują się jeszcze, ale już nie okrągłe; owszem więcej przydłużone, które mniej zasłaniają pierś i nadają zgrabność figurze. Rękawy *à la Louis XIII* są bardzo modne; mówią iż będą bardzo używane przez ciąg pory letniej: a co najlepsza to to, że rękaw półszeroki, dochodzący tylko do połowy ręki, dozwala przechodu powietrza i użytkowania z spodniego rękawa, jest przytem przezroczysty i można przezeń widzieć rękę drobną i pulchną, którą ochrania od niemiłéj zmiany powietrza. Nic bardziej nie odznacza się jak redyngocik z gładkim stanikiem z peleryną z czworogrannemi końcami, z rękawami *à la Louis XIII* i kamaszami z muszlinu indyjskiego, z gładką spodnicą, mający za całą ozdobę dwa wąskie rulony, okręcone lamówką siatkową; dodajmy do tego kapelusz z włoskiej słomki, przystrojony kitką tibetańską a będzie strój prześliczny. Inny strój niemniej powabny, składa się z sukni z pekinu nakrapianego, z gładkim stanikiem, gładkiemi rękawami z wyłogami i spodnicą o dwóch wielkich zakładach.

Rycina przedstawia: suknię grodenaplową z wysokim, gładkim stanikiem i obcisłemi rękawami, na przodzie i stanik krepiną ubrany; kapelusz jedwabny piórami ubrany. Druga suknia krepowa na paliowem grodenaplu, na boku podpięta; głowa w loki klamkami złotemi spinane. Trzecia figura pokazuje nam suknię grodenaplową z pelerynką, ubranie szmuklerskie.

Stroje męskie. Dotychczas nie widać jeszcze strojów wiosennych, pokazało się tylko mnóstwo nowych materii na spodnie i kamizelki w najrozmaitszych odcieniach, w kratki, w paski i w kwiaty. Na kamizelki najmodniejszy jest kaszmir letni bez żadnych prawie prążków; noszą także kamizelki morowe. We frakach i surdutach nie zaszła żadna odmiana od tych jakieśmy w dawniejszych numerach wymienili.

Rycina przedstawia: frak do spaceru.

Karnawał wenecki
na cześć Remersa.

Kiedy światła objawienia
Ciekąc koralową falą
Stworzą, rozbudzą, zapalą
Święte promienie natchnienia,
I himn wielki, himn milczenia
Długą w duszy przegra skalą,
Coż cię godniej uczcić może,
Nad milczenie twórco boże?
Umilkli, i tyś twórcą! bo ty świat twój, skrzypce
W urok przybrałeś niebieski,
Na strunach twoich cudu kolebce,
Grają śmiechy kroplą łezki!
Tyś jest sułtanem uczuć, twa moc niepojęta
Spięła zmysły słuchacza w melodii pęta,
Ty zechcesz, a wnet słońce brylantowo błyśnie,
Kwiaty rozleją swą wonią,
I do ust się nektar ciśnie
I axamit owocu prześliznie pod dłonią,
I słychać jęk piorunu, i słowika flety
Albo słodszy głos kobiety!
Umilkli; dźwiękły struny, smyczka błyskawica
Migoce w mistrzowskiej dłoni,
I oto! pływająca na morzu stolica
Lubieżnem okiem za nami goni.
Na zmarszczonem jej licu pali szkarłat szału,
Płyną gondole,
Brzmią barkarole,
I gwarzy tłum karnawału!
Owdzie arlekin wyprawia harce,
Tańczy dziewica, klnie zbir barczysty,
Skomli lazaron; młodzieńcy, starce,
Śmiechy i płacze, śpiewy i świsty!
I znowu echa nikną powoli,
Tylko o podal słychać na fali
Lekkie pluskanie płynnej gondoli,
Dalej i dalej! dalej i dalej!...
I nagle jakby lecąc z niebiosów
Szeregi dłoni klasnęły grzmotem,
A sława po szczeblach głosów,
Skrzypka — malarza skronie okrążyła lotem.

A. Kłobukowski.

Przygoda z Amerykaninem;
z angielskiego W. H. Harrissona.

Dokończenie.

Wezwaniu aby ich wpuścić, odmówiliśmy jak najdobitniej, zapytując w jakim zamiarze przychodzą nas niepokoić? Wtedy nastąpiła żywa rozmowa czyli raczej narada pomiędzy oblęgającymi, w czasie której Amerykanin obróciwszy się do mnie, jakotež i do adlermana rzekł:

— Moi przyjaciele! ježeli oni drzwi wysadzą co już niewątpliwym jest ich zamiarem, nie bądźcie zbyt pośpieszni w daniu ognia. Nam nienależy tracić na próżno žadnego strzału. Starajmy się zachować krew zimną i niechaj každy z nas oznaczy sobie swojego człeka, a trzy wystrzały z dubeltówek naszych mogą sześciu wrogom naszym dać skosztować prochu, zanim przyjdzie do ręcznego spotkania się.

Zaledwie wyrzekł te słowa gdy žądanie wpuszczenia ich powtórzyło się znowu z większą niž przedtem usilnością i naleganiem i znowu nastąpiło formalne ze strony naszej odmówienie. Z odpowiedzi przemawiającego do nas za drzwiami człowieka, wszystko co mogliśmy zachwycić i zrozumieć było: wy igracie z žyciem naszym! otwórzcie drzwi albo wszyscy zginiecie!

— Pierwszy kto się tu wejść odważy zginie! dał mu w odpowiedź Amerykanin.

— Szaleni! głupcy! wołali, wy sami niewiecie, co czynicie. Dalej tu, Wilhelm! Rudolf! Szwarc! i w tejže chwili zasłyszeliśmy czynione przygotowania do wysadzenia drzwi. Zaczęto potężnemi razami bić w drzwi nasze, które jednak niebędąc nowszej struktury oparły się. Užyto następnie jakiegoś narędzia do przełamania zasuwy lub wysadzenia drzwi z zawiasów; lecz želazo było uparte, a nasi oblęgający znowu zawiedzeni. Podczas tej operacii rzuciłem ukradkowe wejrzenie na towarzyszów moich. Dziewczyna, którą dla bezpieczniejszej ochrony umieściliśmy za najgrubszemi sprzętami izby, klęczała z rękoma złożonemi i wzrokiem wzniesionym w modłach ku temu, który jak ją wierzyć w dziecinnych nauczono latach, był zawsze obecnym ku pomocy w dniach trwogi. Alderman, chociaž mocno wzruszony, nieokazywał braku odwagi, a była to odwaga lwicy o płód swój.

Amerykanin w cudownym prawdziwie sposobie zachwycał krwią zimną i przytomnością umysłu, ująwszy niby od niechcenia za jeden z swych pistoletów, obejrzał nabój i spuścił nazad kurek, z taką na pozór obojętnością jak gdyby chodziło o zregulowanie zegarka. Troskliwość jednak jego o bespieczeństwo młodej lady, ledwie ustępowała w pierwszeństwie troskliwości ojca. Spojrzenie Woodleja bezustanku zwracało się na nią, a spostrzegłszy iž nie była dostatecznie ubespieczona w swem schronieniu, stanął w takiej pozycii, iž strzał któryby w tym kierunku został wymierzony wprzód przez niego przejśćby musiał, zanimby dosiągnął przedmiotu jego troskliwości. Te jego wspaniałomyślne względy nieuszły uwagi ojca jakotež i córki. Spostrzegłem jak mu słodkiemi dziękowano spojrzeniami. Co do mnie azali w tych okolicznościach zdradzałem jakie szczególne uczucia powiedzieć tego

nieumiem, to wiem tylko doskonale iż z całego serca pragnąłem widzieć się ztamtąd o mil trzysta!

W ostatnim wreszcie zamachu na biedne drzwi nasze użyto żelaznego drąga czyli dźwigni, która lepiej przysłużyła się niż poprzednicze narzędzia, zawiasy albowiem zadrzewiałe i stare rychło puściły. Drzwi padły z trzaskiem i odkryły oczom naszym tłum dziko wyglądających postaci, na których czele stał nasz gospodarz i czarniawy chudy człeczek w palonych butach, którego organ wskazywał nam w nim jeźdzca przybyłego w końcu do karczmy. Każdy z nich był groźno uzbrojony, bohatyr w palonych butach, trzymał w ręku z triumfalną miną flakonik z medycyną zapewne, a hojny nasz amfitrion wspierał go z konwią wrzącej wody!!!

Niebędąc przygotowani do walczenia z nieprzyjaciołmi tym sposobem uzbrojonymi, Woodlej i ja z wymierzonemi pistoletami w ręku wstrzymaliśmy się przez chwilę od wystrzału. Wojenny jednakże zapał aldermana niebył tak łatwym do powściągnienia, bo skoro tylko drzwi zostały wysadzone, wypalił on swój pistolet prosto w pełną miesięczną twarz gospodarza i żal mi powiedzieć, z fatalnym skutkiem dla jednego z towarzyszy tegoż, nieszczęśliwego pudla, który przybył pomagać w oblężenie panu swojemu. Bonifacy niezważając na śmierć wiernego psa, padł natychmiast przed nami na kolana, a w tem poruszeniu rozlał nieco kipiącego płynu na uda szanownego eskulapa. Warto było widzieć jak tenże po tej nieproszonej kąpieli wyciął w powietrze *entre-chat* któregoby się sam Oskar Byrne niepowstydził.

Wszystko co pojąć zdołaliśmy z niezrozumiałej prawie dla nas mowy, było błaganie o przebaczenie i łaskę. Szczęściem w tej chwili ukazał się mój tłumacz, który przebudzony hałasem i wystrzałem z pistoletu pośpieszył wpółubrany na miejsce tej sceny. Nastąpiły wtedy tłumaczenia za pomocą których tajemnicze wypadki tego wieczora wyjaśniły się z zadowoleniem wszystkich. Gospodarz jak się okazało niebędąc zbyt zaopatrzony w butelki, miał zwyczaj naciągać z beczki takiego wina jakie było żądane od gości, a gdyśmy zażądali po raz drugi wina z winobrania z r. 1789, użył on w tej okoliczności butelki, która zawierała w sobie poprzednio truciznę na szczury i niedostatecznie z zabijającej swej mieszaniny wyczyszczoną była. Odkrywszy fatalną pomyłkę swoją, posłał natychmiast po najbliższego lekarza, obawiając się jednakże uwiadomić gości swych o nieszczęściu na które żadnego w swej mocy nie miał ratunku, zakazał najsurowiej wspominać nam o tem.

Pocztylion powozu Woodleja, udał się był, jak opowiedział, do lasu w zamiarze odszukania przy świetle xiężyca pozostawionego konia; lecz w połowie drogi spotkał wieśniaków, którzy znalazłszy w lesie szlachetne zwierzę prowadzili je do karczmy; tych, dla zawdzięczenia im posługi, począł traktować po swojemu w kuchni, gdzie nareszcie wszyscy zatrzymani zostali przez burzę. Ów tentent podków końskich na podwórzu, który tyle przyczynił się do przestrachu naszego, pochodził od rumaka lekarza; pędził on w największym pośpiechu aby zaaplikować *antidotum* przeciw truciznie jak mniemano przez nas połkniętej. Gospodarz mając przed oczyma krótką perspektywę szubienicy, gdyby miał być posądzony o zatrucie swych gości, niezmiernie został uradowany, gdy się dowiedział jak opatrznym sposobem odkryliśmy truciznę w winie niekosztowawszy go w cale, ani też szanowny zwolennik medycyny nie miał powodu żałować, iż go nadaremnie trudzono o tej niezwykłej dobie, gdyż każdy z nas z osobna zawdzięczył mu ten pośpiech w niesieniu nam pomocy, której na szczęście niepotrzebowaliśmy.

Jakkolwiek komiczne było zakończenie całej tej sprawy, nikt niebył w usposobieniu śmiać się z tego. Dwoch z naszego towarzystwa uniknęło przypadkiem okropnej i niewczesnej śmierci, a alderman zrządzeniem tej samej opatrzności, zachowany został od nieszczęścia rozlania krwi niewinnego człowieka. Wszelkie inne uczucia zgasły w dziękczynieniach niebu za wybawienie nasze, a po wzajemnych powinszowaniach każdy się udał do swej kwatery, aby odpocząć po trudach i strachu. Po burzliwej nocy, świetny zabłysnął poranek. Słońce ozłociło jasno wzgórza i drzewa, których liścia połyskiwały jeszcze świeżemi kroplami deszczu. Ptaki nóciły znów wesoło, i nie one tylko same czuły radość: bo skoro zgromadziliśmy się znowu w tejże samej izbie, która wczoraj była teatrem takiej trwogi i zamieszania, trudno byłoby znaleść cztery osoby w weselszem usposobieniu umysłu, niż alderman, jego córka, ja i Amerykanin.

Gdym powtórzył dziękczynienia moje panu Woodlej za jego śpieszną pomoc, która mię ochroniła od wychylenia śmiertelnego napoju, — z nami zupełna kwita, odrzekł, jeżelim przeszkodził panu w połknieniu trucizny, również obowiązany mu jestem za obronę przeciw wilkom i niedźwiedziom i burzy, może stokroć od tychże straszniejszej!

— A co do mnie, rzekł alderman zwracając się do Woodleja, jeżeli uniknę trucizny, zabójstwa itp. i powrócę do starej Anglii, będzie dla mnie wielką przyjemnością podziękować ci młody mój panie, w *Finsburg square,* za szlachetne znalezienie się twoje!

*

— O pan niespuszczałeś się wcale na odwagę naszą, zawołał Amerykanin: jednak cała ta sprawa nieobeszła się bez krwi rozlewu!

— Świadkiem tego nieszczęsny pudel, odrzekł alderman, szczęście że się na tem skończyło!

Gdy po oglądnieniu zepsutego powozu Amerykanina okazało się iż dokładna naprawa jego zabrałaby wiele czasu, kazał więc z niego powyjmować wszystkie pakunki swoje, a ponieważ droga moja była odmienną od tej w którą udać się zamyślali Woodlej i alderman, stary szlachcic ofiarował pierwszemu miejsce w pojeździe swoim, co on z wdzięcznością przyjął. Rozstaliśmy się wtedy po wielu oświadczeniach wzajemnych względów oraz życzeniach spotkania się znowu, a ja ruszyłem dalej do Sztutgardu.

Jeżeli zainteresowanie, jakie czytelnicy moi uczuli może dla młodego republikanina, wyrównywa temu które on wzbudził we mnie, zapragną bezwątpienia dowiedzieć się co też później z nim się stało? Los jego żal mi to powiedzieć, był nader melancholijny, bo zaledwie ujechał kilka stacii z nowemi znajomościami swemi, gdy przebity został wskroś serca, strzałem kul, kul czarnych oczu z pod jedwabnych rzęsów pięknej aldermana córki.

Już minęło blisko roku po tej przygodzie, a kilka miesięcy od powrotu mego z kontynentalnej objazdki, gdym znalazł na stole moim kartkę Woodleja, który wzywał mię bym odwiedził przyjaciela mieszkającego w pobliżu miasta. Odpowiadając jego wezwaniu znalazłem go osiadłym w wygodnem pomieszkaniu na jednym z placów przedmieścia W*. Po kilku wyrazach o przygodach naszych od pamiętnej chwili rozstania, Amerykanin przerwał mi nagle wykrzykiem: otóż gdy jesteśmy na tej drodze, muszę przedstawić pana wspólnemu przyjacielowi, który właśnie naówczas znajdował się z nami. Po tych słowach wybiegł z izby, a w kilka minut powrócił z naszą piękną towarzyszką z pod czarnego lasu, którą przedstawił mi jako panią Woodlej. Mógł on słusznie szczycić się swą żoną, jakoteż i czcigodny alderman zięciem swoim. Co do mnie gorycz mojego zawiedzenia w miłości, która zmusiła mię do szukania pociechy w podróżach, znacznie złagodzoną została przez tę okoliczność iż nadobna Julia, która mną wzgardziła, ona co przedtem była samym uśmiechem i słodyczą, zmieniła się w Tatara, a innemi słowami w domowego legislatora, prawdziwego Drakona. W końcu wygnała męża do tego słodkiego schronienia wszystkich pod pantoflem trzymanych małżonków, do izby niższej (*the house of commons*) co nastręczało mu wymówkę jadania obiadów u Bekajma i wracania dopiero o północy przez sześć tygodni w czasie posiedzeń. Biedak bez pozwolenia żony nie mógł nawet zachorować na ból głowy!

Mało już mam co dodać; mój przyjaciel Woodlej kupił wioskę w *Boxhill,* i zaprosił mię bym pędził wraz z nimi kilka tygodni. Miasto było próżne a kluby nudniejsze od zgromadzeń Magoga, przyjąłem więc chętnie zaprosiny.

Pani Woodlej miała kuzynkę, ładniutką, ukształconą, wesołą, i która, pożądany dla nas przymiot, nielubiła tańczyć walca. Fanny i ja kłusowaliśmy konno razem, rozmawiali razem i spiewali razem, lecz ach! możebym jeszcze mógł był uniknąć fatalnego węzła; słowo to literalnie stosujące się do powieszenia, figurycznie do małżeństwa; oba te przypadki idą często przeznaczeniem i wiele osób natchnionych zostało myślą powieszenia się przez dzień mglisty i posępny; ja natchnięty zostałem myślą matrymonialną z tejże samej przyczyny. Fanny i ja dnia pewnego znaleźliśmy się zamknięci w bibliotece sam nasam przez trzy godziny. Deszcz lał jak z cebra, dzień był posępny i mglisty, a nasza rozmowa coraz posępniejsza, już wyczerpaliśmy wszelkie jej przedmioty, a jedynie z chęci zwrócenia do czegoś nowego, zaproponowałem małżeństwo i zostałem przyjęty. Byliśmy jak to świat mówi, stworzeni jedno dla drugiego; ona została właśnie uwolniona z pod opieki najpoważniejszego z opiekunów, lorda kanclerza; a ja znajdowałem się jeszcze po słonecznej stronie lat trzydziestu. Niechaj *Times* resztę wam opowie. Rząd frontowych pokojów w *Albany street* jest do najęcia. Ślub odbył się w *St. Georges Hanover square,* itd.

Jeszcze jedno słowo: już całe trzy tygognie jak jestem żonaty, a jeszcze nie ubolewam nad jarzmem mojem, czyliż nie słusznie mogę się nazwać szczęśliwym człowiekiem!

L. B.

Z Donkarlosa Szyllera.

Akt I. scena 5.

Ciż sami — DON KARLOS *wchodzi* — POZA i MONDEKAROWA *odstępują w głąb sceny.* — KARLOS *klęka przed* KRÓLOWĄ.

KARLOS.

Przecież więc — przecie wolno Karlosowi
Tej drogiej ręki dotknąć!

KRÓLOWA.

Boże święty!
Co za zuchwałość? co za niesłychane
Szaleństwo? wstań infancie! coż świat powie?
Mój dwór ma oczy zwrócone.

KARLOS.

Nie wstanę!

Zaczarowany, w to miejsce wrośnięty
Tu będę klęczał, krokiem stąd nie ruszę.

KRÓLOWA.

Szaleńcze! ufasz w moje pobłażanie
Nie wieszże o tem, że to jest królowa
Że to jest matka? nie wiesz, że wymienię
Królowi sama...

KARLOS.

I że umrzeć muszę!

O niech mię porwą stąd na rusztowanie,
Za chwilkę w raju! coż znaczy ta głowa?

KRÓLOWA.

A twa królowa?

KARLOS.

O boże! o boże!

Gdy chcesz, więc idę, matko! alež przecie
Straszliwie igrasz zemną; twe skinienie,
Twe pół skinienia, z ust twych pół wyrazu
Wszystko, o wszystko ze mnie zrobić może;
Czegoż chcesz jeszcze? coż jest na tym świecie,
Bym niepoświęcił, nie spełnił do razu
Skoro ty zechcesz?

KRÓLOWA.

Uciekaj!

KARLOS.

O boże!

KRÓLOWA.

O to cię jedno, Karolu! ze łzami
Błagam, zaklinam, uchodź, uchodź skrycie
Wprzód nim nas damy, straż mego więzienia
Zdybią — i zaraz z ważnemi wieściami
Do twego ojca pójdą.

KARLOS.

Przeznaczenia

Mojego czekam, bądź to śmierć, bądź życie!
Nie przetom wszelkie nadzieje odłożył
Na jedną chwilę, nakoniec sposobną
Zastać cię samą, by mię spłoszył, strwożył
U celu strach daremny. — Nie królowo!
Świat na swej osi może się obrócić
Sto, tysiąc razy, nim chwilę podobną
Łaska przypadku wydarzy na nowo.

KRÓLOWA.

Nigdy ta chwila niepowinna wrócić —
Czegoż nieszczęsny żądasz?

KARLOS.

O królowo!

Bóg świadkiem! z sobąm taką walczył siłą
Jaką nikt jeszcze: królowo! daremnie
Zgasła odwaga, stoję zwyciężony.

KRÓLOWA.

Jeźli ci moja spokojność jest miłą
Przestań!

KARLOS.

Tyś była moją! nas dwa trony
W obliczu świata zręczyły wzajemnie,
Mnieś przeznaczona na ziemi i w niebie
A Filip, Filip z rąk mi wydarł ciebie!

KRÓLOWA.

On jest twój ojciec!

KARLOS.

Twój mąż!

KRÓLOWA.

Który przecie

Da ci królestwo największe na świecie.

KARLOS.

I matkę w tobie!

KRÓLOWA.

Przez boga żywego!

Szalejesz!

KARLOS.

Czyż on umie cenić ciebie?

Czy zna przynajmniej wartość skarbu swego?
Ja się nie skarżę; zapominam siebie,
I tę szczęśiiwość jaka mię czekała
Niewysłowiona. Byle był szczęśliwy
Choć on, lecz nie jest, to piekieł męczarnie!
Nie jest, i nigdy nie będzie szczęśliwy,
Wzięłaś mi niebo na to, byś go marnie
W objęciach króla Filipa styrała.

KRÓLOWA.

Bezecny pomysł!

KARLOS.

Wiem ja, wiem z dowodem

Kto to małżeństwo swatał; znam dokładnie
Miłość Filipa, i jego staranie,
Czemżeś tu? powiedz! rządczynią? broń boże!
Gdybyś rządziła, czyżby za wyznanie
Musiała Flandrija łąć krew tak szkaradnie?
Żonąś Filipa? nie! to być nie może,
Małżonka w sercu mężowskiem panuje,
A w jego sercu czyjeż panowanie?
Jeźli się jemu iskierka czułości
Chyba w gorączce wymknie mimochodem
Swemu ją berłu, swej siwiźnie kradnie.

KRÓLOWA.

Ktoż mówi żem jest do pożałowania
Żyjąc z Filipem?

KARLOS.

Serce me zgaduje:

Bo ono czuje, wie, że do zazdrości
Byłabyś ze mną.

KRÓLOWA.

O próżny człowieku!

A jeźli moje serce nie tak czuje?
Jeźli Filipa miłość przy powadze,
I niemy wyraz jego poważania
Bardziej mię wzrusza, w większej u mię wadze,
Niż syna jego zuchwała wymowa,
Jeźli szacunek sędziwego wieku.....

KARLOS.

To co innego, gdy tak ani słowa!
O! więc przepraszam. Żeś go kochać miała
Tegom nie wiedział, to dla mię rzecz nowa.

KRÓLOWA.

Cześć moję winnam mężowi mojemu
I to mi miło.

KARLOS.

Nigdyś nie kochała?

KRÓLOWA.

Dziwne pytanie!

KARLOS.

Nigdyś nie kochała?

KRÓLOWA.

Nie, już nie kocham!

KARLOS.

Bo cię serce twoje
Twa przysięga wiąże!

KRÓLOWA.

Daj pokój temu;
Opuść mię, odejdź — i proszę cię xiążę,
Niewracaj nigdy do takiej rozmowy.

KARLOS.

Bo cię twe serce, twa przysięga wiąże!

KRÓLOWA.

Mój obowiązek. Biedny! coż pomoże
Rozbierać twardy wyrok przeznaczenia?
Któremu uledz musiemy oboje.

KARLOS.

Musiemy! uledz musiemy!

KRÓLOWA.

Coż znaczy
Ten głos uroczysty?

KARLOS.

To, że Karlos głowy
Ugiąć nie myśli, kiedy wznieść ją może!
Że Karlos nie chce wściekać się z rozpaczy,
W całem królestwie być najnieszczęśliwszym
Gdy mu nie trzeba tylko wywrócenia
Ustaw, ażeby stać się najszczęśliwszym!

KRÓLOWA.

Jakto? więc jeszcześ nie zrzekł się marzenia?
Śmiesz mieć nadzieję, gdzie wszystko stracone,
Wszystko! na zawsze!

KARLOS.

Tylko nieżyjący
Stracon na zawsze!

KRÓLOWA.

Więc mię, swojej matki
Pragniesz? czemuż nie! nowy panujący
I więcej może. Może rozrządzenia
Ojcowskie spalić! Zmartemu wzniesione
Skruszyć posągi! Pamięć wykorzenić!
Nawet, któż wzbroni? może z podziemnego
Lochu w Eskurjalu, trupa ostatki
Wywlec na światło, prochy znieważone
Na cztery wiatry rozsypać po świecie!
Nakoniec, żeby godnie skończyć przecie...

KARLOS.

Na miłość boga, niedomawiaj tego!

KRÓLOWA.

Nakoniec, może z matką się ożenić!

KARLOS.

Przeklęty synu! tak, tak, rzecz skończona!
Skończona! jasno czuję to, co miało
W ciemności wiecznej pozostać tajemnie.
Straconaś dla mię, stracona! stracona!
Teraz kość padła, wszystko się zerwało!
Piekło w zerwaniu, piekło w posiadaniu!
W obu uczuciach z tej i z owej strony!
O! niewydołam; nerwy pękną we mnie!

KRÓLOWA.

Biedny Karolu! drogi! twej zgryzoty
Czuję, pojmuję żar niewysłowiony,
Pierś twą palący! jak nieporównana
Miłość, tak i ból. Chwała w pokonaniu
Nieporównana także. Tej nagrody,
Wieniec osiągnij bohaterze młody!
Godzien rycerza, godzien jest młodziana,
W którego sercu płyną ze krwią cnoty
Królewskich przodków. Przyjdź do siebie xiążę!
Wnuczek Karola wielkiego, w zaraniu
Rzeźwo poczyna walczyć, gdzie innemu
Serce upada.

KARLOS.

Zapóźno o boże!
Zapóźno!

KRÓLOWA.

Jakto? bydź mężem! Karolu!
Co to za wielkość nasza, trwać przy cnocie
Gdy w jej pełnieniu serce pęknąć może.
Niebo wysoko wzniosło cię, mój xiążę,
Nad miliony współbraci, w półkolu
Jednem i drugiem. Kochankowi swemu
Rozrzutnie dało, co innym ujęło.
Miliony rzekną: czem w matki żywocie
Zasłużył, pierwszym być w śmiertelnych rzędzie?
Nuż więc! niech cnota z długu cię wywiąże,
Usprawiedliwi opatrzności dzieło.
Przodkować światu zasłuż poświęceniem
Na jakie, nikt się inny niezdobędzie.

KARLOS.

Byłbym olbrzymem by się wznieść ku tobie,
Gdy przyszło stracić, na karła zmalałem.

KRÓLOWA.

Przyznaj Karlosie; z uporu, zgryzoty,
Z dumy, ku matce lgniesz z takim zapałem;
Twa miłość, serce twoje, z uniesieniem
Zmarnotrawione dla mię, są własnością
Państw, które twoja przyszłość odziedziczy.
Widzisz więc, trwonisz poruczone sobie
Dobro sieroty: bo twoją miłością
Jest urząd wielki. Miłość nie nadługo
Z toru zboczyła, do matki zbłądziła,

Zwróć ją twym ludom, i zamiast katuszy
Sumienia, boskiej zakosztuj słodyczy
Być twórcą szczęścia. Miłością twą była
Pierwszą Elżbieta; niechże będzie drugą
Hiszpanija! o mój Karolu! ja z duszy
Ustąpię miejsca zacniejszej kochance.

KARLOS.

O jakżeś wielka! wszystko tej niebiancę,
Wszystko poświęcę, co zażądasz; zrobię.
Tu stojąc w ręku zbawiciela tobie
Przysięgam wieczne.... o boże! milczenie
Wieczne przysięgam, wiecznej niepamięci
Nie!

KRÓLOWA.

Serce moje wymagać niemoże
Tego, co zrobić niebyłabym zdolną.

POZA *nadchodząc ulicą.*

Król!

KRÓLOWA.

Przebóg!

POZA.

Precz stąd xiążę!

KRÓLOWA.

Podejrzenie
Jego okropne jeżli cię zobaczy.

KARLOS.

Niepójdę!

KRÓLOWA.

Kogoż swej zemście poświęci?

KARLOS *do Pozy.*

Pójdź, pójdź Rodryku!
do królowej wracając.
Cóż mi stąd wziąść wolno?

KRÓLOWA.

Przyjaźń twej matki!

KARLOS.

Przyjaźń! matka! boże!

KRÓLOWA *dając mu papiery.*

I z Niederlandów te jęki rozpaczy!

Jan Podolecki.

TEATR.

Dnia 10 marca przedstawiono komedię we trzech aktach pod napisem wojna z kobietą, tłumaczoną z francuzkiego przez Henryka Junoszę Borkowskiego. *) Jest w niej kilka dobrych sensów moralnych, ale najlepszym jest tłumaczenie. Złego jest więcej; najgorszym zaś to że nie budzi żadnej ciekawości. W całym pierwszym akcie nie dowiadujemy się tylko o tem cośmy dniem wprzódy wiedzieli z afisza: że będzie wojna z kobietą; wypowiada ją jak najformalniej lekarz sztabowy, grubianin troszeczka, pięknej xiężnie za to, że zbytecznem nęceniem i ośmielaniem wciągnąwszy w miłość jego przyjaciela, pójść potem za niego nie chciała. W drugim akcie zaczyna się wojna i kończy szczęśliwie. Myślicie może, że zręczny lekarz nadawał okolicznościom obroty przez które przeciwnika swojego chwytał i zniewalał? bynajmniej. Było to pasowanie rąk, nie wybiegów, szczera wojna tak jak żołnierza z żołnierzem. Xiężne porwano przemocą i odstawiono jak rekruta do kwatery jenerała jej nieszczęśliwego kochanka. Przytem sproszono gości ażeby ją skompromitować. Xiężnę miesza się zrazu bo oczewiście jest w kozie, przyrzeka wszystko uczynić jak winowajca kiedy mu zedel pokażą; ale nabiera ducha nareszcie, wyrozumiewa swoje położenie i pali długą oracię, w której powiedziawszy że jest przemocą porwana, dowodzi że kokieteria jest tarczą dla kobiet przeciw rozwiązłości. Wtem spada kortyna, a między publicznością dały się słyszeć oklaski półgłośne jak gdyby nie zrąk męskich. Po dosyć długich harmoniach i symfoniach orkiestry zaczyna się akt trzeci, bo autor zapowiedział z początku, że sztuka będzie w trzech aktach. Tytuł sztuki to jest wojna z kobietą zkończył się wprawdzie już w drugim akcie, ale cóż robić? kiedy jenerał jeszcze się nie ożenił, a jemu koniecznie żony potrzeba. Lekarz umyślił skojarzyć go z jakąś wieśniaczką, lada chwila miało być wesele, bo jenerał słaby jest człowiek i wszystkie zażywa lekarstwa jakie mu lekarz podaje. Wtem dowiaduje się znienacka, że xiężna kocha się w nim na prawdę i już nie myśli więcej z wojakami żartować. A zatem hymen i koniec. Oczywiście nie może budzić zajęcia tak martwe przeprowadzenie oschłego samo przez się przedmiotu bez plątaniny i zawikłań. Przytem działania jest mało a gadaniny dosyć; komiczność w tem cała, że autor umiał być tak niezgrabnym i tak śmiesznie łatał. Tak jest, w tej sztuce autor tylko jest komiczny. Nauk moralnych codziennych nie brakuje, jeden drugiemu je mówi, ale nawet szczegułowych, bystrzejszzch spostrzeżeń i wesołych świeżych pomysłów nie znajdziesz. Do najlepszych scen te należą, które nie należą do sztuki i wypełniają tylko jak wał jej zapadłe boki. Tak np. kiedy siostra xiężny usiłuje za jej przykładem droczyć się ze swoim kochankiem. Czyż będą pięknościami budowy ludzkiej członki w sklepie kupione? Powiedzmyż jeszcze słów parę *pro domo*

*) Ponieważ w czasie poprzedniczego przedstawienia tej sztuki ogłoszono afiszem, iż ona jest tłumaczona przez hr. Borkowskiego, przeto na wyraźne żądanie tłumacza ogłaszamy niniejszym, iż ów należy do rodziny Borkowskich z Barańczyc i Ostrowa, którzy hrabiami niebyli i nie są. *Przyp. red.*

sua. Ciotunia xiężny, zbutwiały zabytek arystokracii przedrewolucijnej, pomiędzy różnemi śmiesznościami swojego wieku i stanu wyrzuca młodzieży, że mają brody jak capy. Ujmijmy się za brodami bo może mamy ją także. Wówczas kiedy ta sztuka przypada nie noszono bród jeszcze, będzie to zapewne dodatek jakiegoś niedouczonego sztuk teatralnych reformatora.

L. D-B.

Nowości literackie.

Dwa nowe tomy Biblioteki zakładu Ossolińskich znajdują się już od kilkunastu dni w ręku publiczności. Jeżeli krytyka znajdzie co przyganić lub też sprostować w pojedyńczych umieszczonych w niej artykułach, i najsurowsza powinna oddać sprawiedliwość wydawcy p. A. Kłodzińskiemu, że z całą gorliwością pełni to co tylko w jego jest mocy. Otworzył on pismem tem pole uczonym ziomkom do składania w niem swoich poszukiwań bądź w historii bądź w literaturze, i wezwawszy ich ku temu uprzejmie ogłasza tak ich jako też i swoje własne postrzeżenia. Przykro jest widzieć gdy pismo takie jak biblioteka warszawska, odznaczające się zresztą wyrozumiałością i trafnością postrzeżeń w ocenianiu dzieł różnych, niemoże się zdobyć co do recenzii biblioteki zakładu Ossolińskich na lepszego dostrzegacza niż jest jakiś pan *Wł.* który np. w poszycie biblioteki warszawskiej z lutego ogłasza to za jakieś wielkie nadużycie dobrej wiary czytelników, że wiadomość o Ormianach w Polsce, drukowana najprzód w bibliotece Ossolińskich, pokazała się po niejakim czasie w handlu jako dzieło osobne. Możnaby tu zapytać literatów warszawskich i niewarszawskich jakim sposobem się to dzieje że ich artykuły jednocześnie niekiedy w dwóch i trzech różnych dziennikach czytamy, aż oto i całe dzieło pokazuje się przy końcu roku z tychże artykułów drukowanych złożone; i czy którykolwiek literat przyjąłby taki warunek od redaktora iż artykułem który się najprzód w pismie jego drukuje, nie wolno mu będzie po któtszym lub dłuższym przeciągu czasu rozrządzać? Powiada recenzent że napis na tej xiążce: wydanie zakładu jest szumny; niechże nas naczy jak to powiedzieć iż zakład wydał (bo tak jest) aby nie było, czy aby niezdawało się szumnym panu Wł.? Mylim się może, ale panem Wł. zdaje się powodować jakaś niechęć osobista.

Tom IV i ostatni z r. 1842 zawiera 1) Poloneutichii z rękopismu Andrzeja Lubienieckiego rozdział XVIII i XIX. Bezkrólewie po śmierci króla Stefana i panowanie Zygmunta III. do r. 1617. 2) Krótki rys dziejów i spraw Lisowczyków przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego (ciąg dalszy). 3) O języku polskim i jego gramatykach przez J. N. Deszkiewicza, rosprawa trzecia. 4) Mowę zastępcy kuratora Gwalberta Pawlikowskiego. 5) Rozmaitości literackie: Poprawki i dodatki do odpowiedzi na zarzuty względem dzwonu u ś. Jerzego p. X. B. L. — Rubon pismo wydawane przez K. Bujnickiego. *Historica Russiae monimenta ab A. J. Turgenevio.* — Pomieszanie Jarosza Bejły. — Jak pisać i mówić należy: Polsce lub też Polszcze? przez A. K. — Medal ruski (z tablicą). 6) O rękopismach xięgozbioru Ossolińskich przez A. Batowskiego: Roczniki Bieżanowskiego, dokończenie z podobizną.

Tom V z kolei a pierwszy z roku 1843 zawiera: 1) Poloneutichii Lubienieckiego rozdziały I, II i III z części wtorej: o szwankowaniu szczęścia korony polskiej i wielkiego xięstwa litewskiego w r. 1612 i 1613. 2) O języku polskim i jego gramatykach przez J. N. Deszkiewicza, dokończenie rozprawy trzeciej. 3) Krótki rys dziejów i spraw Lisowczyków przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego (ciąg dalszy). 4) O pierwszych zaborach Wariagów na ziemi polskiej i o grodzie Czerwieńsk przez Kazimierza hr. Stadnickiego. 5) Zdanie sprawy z czynności zakładu przez dyrektora A. K. 6) Rozmaitości literackie: o życiu i pracach W. A. Maciejowskiego (z obrazem) przez Adama Rościszewskiego. — *Die Wissenschaft des slavischen Mythus von Dr. J. J. Hanusch.* — O rękopismie Długosza o herbach polskich. — Wapowiec, wapowca wyraz w słowniku Lindego niewłaściwie umieszczony. 7) O rękopismach xięgozbioru Ossolińskich przez Alex. Batowskiego: rękopisma dziejów polskich Długosza (z podobizną).

Między rozmaitościami literackiemi ważna jest wiadomość o rękopismie Długosza wynalezionym przez A. Batowskiego, śród innych tegoż autora rękopismów w bibliotece Ossolińskich. Tytuł jego jest: opis rodzin szlacheckich i klejnotów narodu polskiego. Jestto najdawniejszy herbarz polski na który odwołuje się często nasz heraldyk Paprocki, i znany był dotychczas uczonym tylko z jego przytoczeń. P. Kłodziński zamyśla ogłosić go drukiem i wzywa uczonych mających stosunki z różnemi bibliotekami, azali nie wiadomy im jest jaki fragment podobny tego rękopismu Długoszowego, z którego możnaby brakujące części uzupełnić, albowiem rękopism Ossolińskich składa się tylko z trzech kart półarkuszowych.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. CZCIONKAMI PIOTRA PILLERA.